Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

Rok IV. Listopad 1923. Nr 9.



# ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

Organ Kół Krajoznawczych Młodzieży Pol. Tow. Krajozn.





Wycieczka P. T. K. pod Girawą na Śląsku Cieszyńskim.

ALEKSANDER JANOWSKI.

# Wycieczka po kraju, jako klucz do ukochania Ojczyzny [1]).

Pękły wiekowe okowy, a Biały Orzeł wolne rozwinął skrzydła. Najwyższy skarb, jakim jest Wolność, posiadł naród przez parę pokoleń ciemiężony, obdzierany z praw obywatelskich, wypędzany z własnej ziemi, poniewierany i gnębiony.

Jak odurzony patrzy jeszcze na cudowne zjawiska, nie doceniając ich doniosłości. Nowa rola wolnego obywatela, rola, do której z trudem dopiero dostraja się, czasami go dziwi, a czasami nawet męczy, wskutek swej nowości i wielkości.

Przez parę pokoleń rządy zaborcze zacierały starannie w umysłach Polaków poczucie obywatelskie i pojęcie Ojczyzny: szkoła pruska nawet do mistycznej rozmowy duszy ludzkiej z Majestatem Boga brutalnie wtłaczała obcy język, porywy uczucia narodowego nazywała zbrodniczą agitacją, a imię Polski starała się zamienić na miano pogardliwe.

Carskie rządy wymazały zupełnie ze wszystkich przejawów życia wyraz Polska i wyraz Ojczyzna. Za miłość kraju wtrącały do lochu, za miłość ludu słały do katorgi.

Obłudny i fałszywy rząd habsburski, łudząc błyskotkami i pozorami wolności, był dla narodu naszego wampirem, chłepcącym krew, a dławiącym ducha.

W tych warunkach wyrastały pokolenia poniewierane, ośmieszane, a nazwy Polaken, lub Polacziszka były nadawane pogardliwie, szydersko.

Ale Polacziszki z Prywislinja, ale Polaken z Prowinz Posen chowali w sercach nieskażony ideał Wolnej Ojczyzny, u kolebki im śpiewały matki: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie!“, a gdy dzieci całego świata bawiły się opowieścią o Czerwonym Kapturku lub Kocie w butach, to polskiemu dziecku mówiono o Grunwaldzie i Racławicach, o granicznym słupie Tatr i dostępie do morza.

Opowieści te dyktował genjusz narodu, jego Duch Opiekuńczy, przy zniczach wiecznego ognia stojący. Ten płomień nieśmiertelności narodu rozżarzał się w sercu dziecka, które wyrastało na młodzieńca, a potem dorosłego męża, wciąż chroniącego ten święty ogień w swem sercu.

I tak żyły i cierpiały, lecz trwały nieugięte w swem umiłowaniu pokolenia, aż przyszedł moment wyswobodzenia z pęt, przejasna błyskawica szczęścia oślepiła naród. Uderzył straszliwy grom zagniewanego Boga i powalił drapieżców, a uciśnionym dał Wolność najwyższy ze skarbów, jakie daje ziemia.

A stało się wszystko tak szybko, i tak dalece przeszło oczekiwania, że odurzenie dotychczas jeszcze nie minęło, a jakiegoś wielkiego żywiołowego odruchu szczęścia nie widać.

Dlaczego tak jest?

---

[1]) Z książki wydanej przez Związek Młodzieży Wiejskiej p. t.: Wycieczki krajoznawcze.

Chyba dlatego, że skarlały dusze nasze w niewoli, że piętno hańby rozbioru gniecie nasze umysły, a blask wolności onieśmiela.

Na zbrojny czyn, czyn chwały nieśmiertelnej, zdobyliśmy się w obliczu grożącej inwazji.

Na powolną, mrówczą pracę zdobyć się trudno, a jednak trzeba. Trzeba tej truciźnie, co jadem niewoli zatruła nasz organizm duchowy, przeciwstawić antydotum, odtrutkę zdrową i krzepiącą.

Znalezienie tej odtrutki jest bardzo łatwe: trzeba robić to wszystko, czego zabraniali wrogowie. Oni poniewierali imię Polski — my je zecią głosić będziemy. Oni wymazywali pojęcie Polski z programu szkoły, z kart księgi, ze stron atlasu — my wszędzie je umieścimy, a zdarty majestat oświecimy blaskiem ognia w naszych sercach płonącego. Oni nie dali nam się uczyć o Polsce, podziwiać Polski, a my w słowie i druku szukajmy Polski, żądajmy Jej wszędzie, poznawajmy Ją, a jej chwała niech wypełnia istoty nasze, nasze serca i dusze, nasze umysły i całe nasze życie.

W każdej okazji starajmy się czytać o Polsce, słuchać o Polsce, Polskę oglądać i podziwiać Jej wiekuisty, nieśmiertelny majestat.

Co jednak bardziej przemówić może do naszego umysłu: czy karta księgi, czy słowo wykładu, czy barwny obraz kraju?

Najbardziej utrwala się w duszy osobiste przeżycie, i dlatego nic tak głęboko nie poruszy człowieka, nic go nie zwiąże tak silnie z Ojczyzną, jak własna obserwacja, własne spostrzeżenia, własne wrażenia i przeżycia.

Dlatego też kluczem do ukochania Ojczyzny, drogą do Jej poznania, jest i będzie wycieczka po kraju.

---

## Od administracji.

Chcąc zabezpieczyć zarówno naszych pp. Abonentów, jak i siebie przed stratami, wynikającemi z ciągłej dewaluacji Mp., a równocześnie umożliwić abonowanie naszego pisma bez dopłat późniejszych, wprowadzamy niniejszem abonament i rachunki w cenach zasadniczych. Cena jednego zeszytu „Orlego Lotu“ odtąd wynosić będzie — 0.12, abonament roczny zaś 1 jednostkę zasadniczą. Chwilową ich wartość w Mp. otrzymuje się, mnożąc jedn. zasad. przez chwilowy mnożnik ogólnopolskiego Związku Księgarskiego, o którym informacje podać może każda księgarnia.

Dla przykładu dodajemy, że w październiku 1923 mnożnik ów wynosi 40.000; z tego wynika, że w październiku cena jednego numeru „Orlego Lotu“ wynosi 4.800 Mp., abonament roczny zaś 40.000 Mp., przez których wpłatę zabezpieczy się Przedpłatnik przed jakąkolwiek dopłatą do końca roku. O ile wpłaty uiszczone będą w innym terminie, należy każdorazowo zastosować mnożnik, wówczas miarodajny. Konta zaś będą przez nas prowadzone tylko w jedn. zas.

---

## Z polskich zwyczajów pogrzebowych w dawnych wiekach.

Jak w każdej dziedzinie dawnego polskiego obyczaju, tak też i przy sposobności badania dziejów obrzędów pogrzebowych uderza badacza ta charakterystyczna cecha życia Polaków epok minionych, przejawiająca się w gorącem umiłowaniu zewnętrznej pompy i splendoru. Odpowiadało ono rogatej sarmackiej naturze, rzuconej zrządzeniem losów na pogranicze Wschodu i Zachodu. Oczy Polaków nawykły od dawna do tęczowego przepychu barw towaru, przywiezionego z dalekich krain wschodnich przez żądnego zarobku kupca; ściany dworów polskich ustroiły się klejnotami, zdobywanemi w śmiertelnych kresowych bojach z pogaństwem; ze Wschodu też przybyły do nas stare świetne stroje, kontusze i delje, oraz hartowny oręż. I gdy z dworem królowej Bony z pod słonecznych niebios Italji przyszło do Polski umiłowanie hucznych zabaw, festynów, igrzysk i teatru, znalazło tu najpodatniejszy grunt. Zewnętrzny przepych i zdumiewająca wspaniałość pozostały wykładnikiem wszelkich uroczystości zarówno publicznych, jak prywatnych aż w ostatnie lata istnienia Rzeczypospolitej. Znalazły one wyraz swój także i w dziedzinie obyczajów pogrzebowych — świetnych, jak nigdzie indziej w świecie.

Zapylone karty naszych starych kronik, podające potomności najdawniejsze opisy pogrzebów, pouczają już w średniowieczu o dążności do okazałości, jak również o wybitnym obyczajowym indywidualiźmie, wyodrębniającym je od pogrzebów w reszcie Europy. Te dwie cechy: splendor zewnętrzny i indywidualizm obyczajowy, pozostaną też do końca istnienia samodzielnej Polski cechą jej pogrzebów. A przedziwne i grozą szarpiące serca uczestników ostatniej posługi sceny rozgrywały się przed oczyma zebranych; dość wspomnieć ów zagadkowy obyczaj sobowtóra, który niby starorzymski archimimus na pogrzebach Cezarów, podobny obliczem do nieboszczyka, jechał za marami w szatach czy zbroi zmarłego króla lub rycerza, na rumaku jego, z mieczem nagim ku piersi zwróconym, albo ów zwyczaj wodzenia przed lub poza trumną zmarłego koni jego, odzianych w żałobne kapy czarne lub purpurowe, wlokące się po ziemi, a wprowadzanych z ciałem do kościoła; albo ów przejmujący majestatem grozy zwyczaj „łamania drzewa“ czyli kruszenia kopji o katafalk przez wjeżdżającego do świątyni w czasie żałobnych i ponurych pień kapłanów rycerza, zakutego w stal, z szyszakiem i pawężą, oblepionemi gorejącemi świecami, który następnie skruszywszy kopję, a często też miecz i strzały, z ogromnym chrzęstem spadał na ziemię z rumaka, spłoszonego zazwyczaj niezwykłem otoczeniem.

Przeciw świeckiej okazałości, wiążącej się zawsze z temi ceremonjami, wcześnie już musiało występować duchowieństwo. Czyni to dwukrotnie w kronice swej Długosz. Opisując pogrzeb biskupa krakowskiego Zawiszy z Kurozwęk, zmarłego w r. 1382, fundatora dzisiejszej kaplicy Potockich w katedrze wawelskiej, powiada, iż ojciec jego Dobiesław, kasztelan krakowski i Krzesław, brat, kasztelan sandomierski, wyprawili mu pochód pogrzebowy obyczajem rycerskim z wielką wspaniałością, ciało zmarłego poprzedzały konie purpurą

odziane, które potem do katedry wprowadzono. Aliści, powiada Długosz, następnej nocy świątnicy, czuwający na straży w katedrze, usłyszeli jakoby tentent koni po kościele biegających i wołania czartów, co pokazuje, że przepych pogrzebowy zwyczajna próżność światowa, jeśli niemiły jest Bogu na pogrzebach rycerzy, w większem jeszcze jest obrzydzeniu przy pogrzebie biskupów. Rzecz jasna, iż celem Długosza w opowieści tej jest naganienie rozpanoszonej już w średniowieczu próżności i wykazanie oczywistej woli niebios. Jeszcze raz w kronice swej występuje on przeciw zbytkowi przy opisie pogrzebu Ziemowita starszego, księcia mazowieckiego i płockiego, któremu po śmierci żona Aleksandra, siostra Jagiełły, włożyła w grób wiele kosztowności, okrywszy go drogocennemi szaty, ozdobiwszy srebrnym łańcuchem, mieczem i pasem rycerskim, przywdziawszy mu obuwie wojenne i ostrogi złociste, poczem usłała dlań łoże miękkie i bogato nakryte złotogłowiem i tak ciało jego złożyła w grobie obyczajem pogańskim raczej, niż chrześcijańskim. Nie mógł tego barbarzyństwa znieść Stanisław Pawłowski, biskup płocki; gdy więc po skończonym pogrzebie wszyscy odeszli, kazał z grobu wyjąć wszystkie złożone tam kosztowności i rozdał je na chwałę Bogu i ludzkie użytki, co pochwala Długosz, usprawiedliwiając profanację grobu księcia i ganiąc „pogańskie“, zdaniem jego, pogrzebowe posługi.

Wszystkie te pełne mistycznej grozy, a tradycją prawieków uświęcone zwyczaje jakże silnie ryć się musiały w prymitywnej duszy ówczesnego ludu! Jakże potężnie działać nań musiały uroczystości pogrzebów królewskich tu w Krakowie odbywane! Czyż bez echa i pamięci pozostał w narodzie ów obraz pogrzebu Kazimierza Wielkiego, kiedyto w kondukcie za 12 chorążymi, dźwigającymi proporce ziem, jechał rycerz na odzianym w purpurę stępaku królewskim, wyobrażając osobę zmarłego monarchy, a za nim 600 ludzi z świecami wagi ½ kamienia i kiedyto po pochodach i złożeniu darów w różnych kościołach krakowskich według zwyczaju połamano owe chorągwie, to jest i zewca, wśród ogromnego, wedle słów Janka z Czarnkowa, lamentu włkania ludu. I ten płaczący lud zachował też głęboko na dnie serc dyryte wspomnienie żałobnych obchodów — i gdybyśmy w księdze ziejów przewrócili trzy karty wiekowe, a stanęli u progu XVIII. stulecia — znaleźlibyśmy tak samo te zwyczaje prastare przy oddaniu ostatniej posługi, jak ongi w wiekach zamierzchłych. W ogólnym jeno charakterze, zgodnie z duchem czasu przybyło uroczystości w wystawie baroku i napuszystego panegiryzmu; przejawi się on w zwyczaju częstego balsamowania i eksenteracji czyli złożenia serca zmarłego w osobnym pomniku; wystąpi on w olbrzymich, czasem na mile się ciągnących konduktach, na które spraszano nieraz całe województwa, pokaże się w sięgającem nieraz sklepienia kościoła „castrum doloris“, katafalku, na którego przystrojenie wysilał się cały niewyczerpany koncept tej epoki; da on słyszeć o sobie w płomiennych słowach pogrzebowych kaznodziejów, których mowy potem długo w odpisach krążyły, wreszcie w owych słynnych 3-dniowych stypach, skromnie zwanych „panis doloris“, połączonych z traktamentem „aż do zupełnego ukontentowania“, jak się wyrażają opisy... A jeśli niekiedy zmarły wy-

dał przed śmiercią rozporządzenie najskromniejszego pogrzebu, natenczas miewały często miejsce dwa pogrzeby: pierwszy skromny dla zaspokojenia woli nieboszczykowskiej, drugi pełen przepychu — „pro reputatione domo“.

I dopiero kres temu położy koniec XVIII. wieku, utrata wolnego bytu państwowego wewnątrz, z zewnątrz zaś druzgocące stary porządek hasła wielkiej rewolucji, niweczące rozpanoszony, jak w Europie, tak i u nas zbytek, goniący często za czysto zewnętrznym blaskiem i przepychem.

I jeno niby echo tych czasów gdzieś w dziadowskiej pieśni na jarmarku czy odpuście zadzwonią te stare strofy, pamiętające XVII. w., a sławiące wszechpotęgę śmierci, niweczącą pyszne i wspaniałe:

Bierze wojewody, wiek stary, wiek młody,
Bierze i panięta, biskupy, książęta
Do ziemi!

I hetmana zbroje rzuca między gnoje
I groźną buławę ciska popod ławę
Innemu!

Na nich już doktory i pieniędzy wory,
Ni sobola szuba — pójdź do wójta Kuba,
Bo już czas!...

*Dr. J. Dob.*

---

SEWERYN UDZIELA.

## Jaskinia w Bukowcu.

Do piękniejszych okolic w naszym kraju należy północna część powiatu grybowskiego nad rzeką Białą, koło miasteczka Ciężkowic. Wszędzie wśród gajów i lasów spostrzegamy piaskowcowe skały, nieraz o fantastycznych kształtach, tworzących to niby jakieś miasta zakamieniałe, to znowu zwaliska zamku, wreszcie niby domy większe lub mniejsze wśród pól i lasów pogubione. A prawie wszędzie podania, legendy i cudowne jakieś baśni z zaświata wiążą się z temi skałami.

Skały ciężkowickie przeglądałem już dawniej, wdrapywałem się na szczyt każdej, która tylko jako tako była dostępna, mierzyłem wysokości, słuchałem różnych opowieści, — pozostała mi jeszcze do zwiedzenia jaskinia w Bukowcu, wioski położonej kilka kilometrów na południowy zachód od Ciężkowic. A pragnąłem zwiedzić ją koniecznie, bo o niej opowiadano wiele w okolicy, a nawet krakowski „Przegląd literacki i artystyczny“ w roku 1882 pomieścił krótkie opowiadanie o zaklętej w tej jaskini Maciaszkównie, którą wybawić może tylko ten z Maciaszków, który zostawszy księdzem pomodli się za nią przy pierwszej mszy świętej.

Nawet wtedy jakoś poznałem (dziś już ś. p.) ks. Jana Maciaszka rodem z Bukowca i zapytywałem go, czy zna to podanie i czy nie starał się wybawić zaklętej dziewczyny. Ks. Maciaszek powiedział mi, że zna podanie, pamiętał o niem zawsze, ale w czasie pierwszej mszy świętej zapomniał o wszystkiem.

A opowiadania są takie:

Na wzgórzu wśród wielkich lasów przemieszkiwali rozbójnicy, a dziewczyna, Maciaszkówna, gotowała im jeść i spełniała domowe posługi.

Kiedy raz na rozkaz starszego zbójcy dziewczyna nie wykonała natychmiast jego polecenia, rozzłoszczony krzyknął:

— Żeby cię djabli wzięli!

I w tej chwili trzasnął piorun w chałupę, zniknęła Maciaszkówna i zbójcy, a pozostał tylko dom zamieniony w kamień i jaskinia pod nim.

Za to, że służyła u rozbójników pokutować będzie Maciaszkówna tak długo, dopóki jej kto nie wybawi.

Bywali śmiałkowie, którzy pragnęli ratować biedną dziewczynę i zapuszczali się w czeluście skalne daleko w głąb ziemi. Jeden odważny przez dwa dni błąkał się w labiryncie podziemnym, wreszcie doszedł do bramy żelaznej, a gdy chciał ją otworzyć i dobijał się silnie, usłyszał głos z poza drzwi zamkniętych, że bramę otworzą wtedy, gdy zniesie pod nią w oznaczonym czasie wszystko, co się znajduje w kościele, ale częściowo po kawałku.

Ucieszony pomyślnym wynikiem swych trudów parobek, wrócił na powierzchnię ziemi i począł znosić sprzęty kościelne do jaskini. Gdy wreszcie po wielu trudach zniósł wszystko na dzień oznaczony, zaczął się znowu dobijać, aby mu bramę otworzono. Tymczasem usłyszał tylko śmiech szyderczy i odpowiedź, że nie przyniósł jeszcze — miotły.

Inne opowiadanie mówi, że dziewczyna, Maciaszkówna zamiast iść do kościoła w niedzielę, podczas sumy pasła tu bydło. Wtedy z pod kamienia wyskoczył djabeł, porwał ją i zaniósł do jaskini pod ziemię. Jeden z parobków poszedł ją szukać. Spuścił się do jaskini, szedł, szedł długo i daleko, aż natrafił na rzekę podziemną, której nie mógł przejść. Widział tylko na drugim jej brzegu w głębi w jakiejś komnacie Maciaszkowną, rachującą pieniądze. Gdy na nią zawołał, zbliżyła się i powiedziała, że może ją wybawić tylko ten z rodu Maciaszkow, kto zostanie księdzem i przy pierwszej mszy świętej pomodli się za nią.

Chodźmy więc, chodźmy koniecznie obejrzeć to cudowne miejsce pokuty nieszczęśliwego dziewczęcia. Kto wie, jak daleko uda się nam dotrzeć w głąb jaskini i kto wie, co tam zobaczymy, co tam znajdziemy? Może skarby nagromadzone i ukryte przed wiekami przez rozbójników, a może przynajmniej jakieś ślady mieszkania człowieka jaskiniowego!

W letni dzień pogodny po południu wybrało się nas czterech na tę wycieczkę, zaprosiwszy do towarzystwa nauczyciela z Lipnicy Wielkiej, który znał dobrze sąsiedni Bukowiec i miał nas doprowadzić na miejsce.

W lesie napotkaliśmy chłopaka pasącego bydło, więc pytamy się go, gdzie tutaj jest w skale owa jaskinia.

— Hę? jaskinia? — pyta wyrostek.

— No, jaskinia w skale. Chcielibyśmy ją obejrzeć.

— Jaskinia? Jaka jaskinia? Tu niema żadnej jaskini.

— Ale jest — mówimy — taka, co w niej siedzi zaklęta Maciaszkowna.

— Aha, taka dziura. Jest hajnok! — i pokazał nam niedaleko stojącą skałę, a nawet podszedł z nami na miejsce.

Zobaczyliśmy w ziemi dziurę, niby otwór do studni, o powierzchni — mniej więcej — metra kwadratowego. Zaglądamy do wnętrza, ciemoe, nic nie widać, zejścia żadnego też nie ma. Pytamy raz jeszcze chłopca:

— To tutaj?

— Tu.

— Tędy się schodzi?

— A, tędy.

— A byłeś tam kiedy?

— Ej, nie — odpowiedział zaambarasowany.

Zapalamy świece, w które zaopatrzyliśmy się na wycieczkę i oświetlamy otwór ciemny, aby zobaczyć w jaki sposób można spuścić się na dół. O metr niżej widzimy dno, więc wskakujemy i rozglądamy się dalej. W boku w skale spostrzegamy czeluść prowadzącą skośno w dół. Można przejść, więc idziemy jeden za drugim, rozglądając się po bokach. Jesteśmy w wąskiej szczelinie skalnej, niby w korytarzu. Warstwy piaskowca poszarpane wystają mniejszymi lub większymi zębami. Korytarz prowadzi w dół i zwęża się. Wsuwamy się po jednemu w tę gardziel kamienną. Szczelina ma wygląd wypłuczyska przez wodę, która w czasie nawałnic, albo tajania większych mas śniegu ściekała w głąb, wymywała i rozszerzała pęknięcia w skale i gdzieś tam potem ujściem innem wydobywała się jako źródełko na powierzchnię ziemi.

To też wędrówka nasza nie trwała długo. Jaskini obszerniejszej nie znaleźliśmy; gardziel, którą spuszczaliśmy się w dół, w dwunastym metrze od powierzchni ziemi tak się ścieśniła, że dalej człowiek nie potrafił się wsunąć. Najszczuplejszy z nas sunął przodem, więc gdy nie mógł się już ruszyć dalej, zawiadomił nas o tem i dał hasło do odwrotu. Najpierw musiał się teraz wydostać ostatni, to jest czwarty z naszych towarzyszy. Ja byłem trzeci, więc za nim, jak kominem miałem się posuwać do góry. Wtem towarzysz, znajdujący się podemną, krzyczy, że nie może wydobyć się, tak się wsunął między skały. Chwytam go za ramiona i ciągnę do góry. Ani rusz! Ten, co był pod nim, mówi, że może jeszcze nieco pociągnąć go w dół, a wtedy będzie mógł obrócić się i dogodniej wysunie się w górę. Więc go ciągnie za nogi, a że ja nie puściłem go jeszcze i mocno szarpię za ramiona, nieborak krzyczy:

— Bójcie się Boga, dajcie pokój, bo mnie rozedrzecie!

Wreszcie jakoś obrócił się w szczelinie i zaczął się wysuwać ku górze, a za nim i ów zakorkowany czwarty towarzysz.

Wydostaliśmy się wreszcie na światło dzienne, otrzepali, bo szczelina była sucha i opowiadali przeżyte wrażenia.

Przekonaliśmy się, że w Bukowcu niema żadnej jaskini, ale szczelina w skale, wypłukana przez wodę, którą daleko dojść nie można. Za schronienie człowieka nie mogła ta szczelina służyć, bo niema

w niej nigdzie kącika, w którym człowiek mógłby się przespać, na jakiejś równej powierzchni, zabezpieczony przed zimnem, lub przepływającą z góry w czasie deszczu wodą.

Ciekawość naszą zaspokoiliśmy, chociaż — niestety — nie zobaczyliśmy zaklętej Maciaszkówny.

---

WŁODZIMIERZ FISCHER.

## Bodzentyn.

Zwiedzający Góry Świętokrzyskie pomijają przeważnie miasteczko Bodzentyn. Niesłusznie jednak. Warto bowiem zboczyć od klasztoru św. Katarzyny o kilka kilometrów i odwiedzić tę cichą dziś osadę,



Na drodze do Bodzentyna. *Fot. Al. Szyndler.*

zdobną ruinami biskupiego zamku, a dumną ze wspaniałego domu bożego.

Powstanie swoje zawdzięcza Bodzentyn biskupowi krakowskiemu Bodzancie Jankowskiemu, który tu, na gruntach, należących do wsi Tarczek, założył około r. 1355 osadę od swego imienia Bodzentynem nazwaną. Dzięki możnemu poparciu biskupów Bodzentyn rozwija się i bogaci, czego dowodem 2 rynki i okazały ratusz gotycki, z którego dziś nie ma ani śladów.

Obronny zamek biskupi wzniósł w stylu gotyckim biskup Florjan Mokrski, a Jan Konarski około połowy XVI. wieku przebudował go, nadając mu wdzięczne formy renesansowej budowli.

Zamek bodzentyński staje się jedną z licznych, a ulubionych rezydencyj biskupów krakowskich i pozostaje nią prawie do końca XVIII. wieku.

Opuszczony następnie popada szybko w ruinę, a dziś pozostały zeń już tylko szczątki murów, znajdujące się w stanie beznadziejnego upadku.

Najlepiej jeszcze zachowała się piękna, późno-renesansowa brama wjazdowa, kuta z czerwonego piaskowca, w który okolica tamtejsza obfituje.

Ciekawszym od ruin zamku zabytkiem jest pochodząca z połowy XV. wieku kolegjata, fundowana przez kardynała Zbigniewa Oleśnic-



Bodzentyn. Ruiny zamku. *Fot. Al. Szyndler.*

kiego. Obszerna ta gotycka świątynia mieści cały szereg cennych godnych poznania pamiątek.

Przedewszystkiem zwraca uwagę okazały renesansowy wielki ołtarz, zdobny orłami Zygmuntowskimi i herbem Nałęcz, z dużym obrazem szkoły niemieckiej z XV. wieku, przedstawiającym Chrystusa na krzyżu, następnie tryptykowy ołtarz z początków XVI. wieku szkoły krakowskiej, fundowany przez biskupa Konarskiego, ładny pomnik z czerwonego marmuru zmarłego w r. 1577 biskupa Krasińskiego, a wreszcie piękna gotycka chrzcielnica kamienna nader delikatnej roboty, podzielona u podstawy na 8 tarcz, zdobnych herbami biskupów

krakowskich, a między niemi i orłem jagiellońskim jako herbem kardynała Fryderyka Jagiellończyka.

Chrzcielnica ta, nosząca datę 1480 r., należy do najciekawszych i nastarszych tego rodzaju zabytków w Polsce.

Widoczne jeszcze tu i ówdzie resztki dawnych murów miejskich, do których przypierają dziś nędzne domki, świadczą o tem, że Bodzentyn w czasach swej świetności był miastem, obwiedzionem murem obronnym.

Ostatni pożar, jaki nawiedził miasto to w r. 1917, zniszczył pozostałe tam jeszcze, ciekawe zabytki budownictwa drewnianego, oraz kościółek św. Ducha, z którego zostały tylko opalone mury.



Bodzentyn. Zniszczona dzwonica.
*Fot. Al. Szyndler.*

---

DR W. ŻELECHOWSKI.

## Placówka naukowa u stóp Tatr[1]).

W roku 1888 grono przyjaciół i wielbicieli Dra T. Chałubińskiego, „odkrywcy Tatr", założyło w Zakopanem Muzeum Tatrzańskie jego imienia. Muzeum, pomieszczone w małym drewnianym domku, przy zbiegu ul. Zamoyskiego i Chałubińskiego, wiodło tu przez szereg lat skromny żywot, dopiero szlachetna ofiarność i inicjatywa kilku osób zapewniła instytucji lepszą dolę. Dr J. Baranowski z p. Dr Heleną Dłuską podejmują starania około wybudowania murowanego gmachu, dla pomieszczenia zbiorów, dzięki ich energji i ofiarności, po otrzymaniu, na nadzwyczajnie dogodnych warunkach, gruntu pod budowę od Towarzystwa Tatrzańskiego, przystąpiono w r. 1913 do budowy muzeum przy ul. Krupówki 12. Budowa, której koszta ponosiło kilkanaście ofiarnych jednostek, została przez wojnę światową wstrzymana, dopiero rok 1918 jest dla przyszłości gmachu szczęśliwszy — zaczętą pracę można było, przy pomocy finansowej rządu polskiego oraz kilku ofiarodawców, doprowadzić do końca.

W r. 1922 staje piękny, dwupiętrowy gmach, w którym pomieszczono zbiory, przenosząc je tamże z dawnej siedziby. Nowy budynek,

---

[1]) „Czas", nr. 171.

utrzymany w stylu „zakopiańskim“, przedstawia się okazale i estetycznie i obok „Dworca Tatrzańskiego“ stanowi ozdobę zbanalizowanego, niestety, tylu niesmacznemi budowlami centrum Zakopanego.

Zarząd Muzeum stanowi (po niedawno przeprowadzonej reorganizacji) stałe kuratorjum, złożone z kilkunastu członków, któremu przewodniczy obecnie prof. Uniw. Jagiell. W. Szafer. Dyrektorami są: senator Fr. Prauss, prof. Dr St. Sokołowski i rzeźbiarz W. Brzega, kustoszem działu etnograficznego prof. J. Zborowski, równocześnie administrator, zaś kustoszem działu przyrodniczego prof. Dr K. Stecki.

Zbiory pomieszczono w dwóch oddziałach: etnograficznym i przyrodniczym. W dziale etnograficznym szczególnie zwraca uwagę chata góralska (dar p. Dembowskiej), jest to model naturalnej wielkości, z całem typowem urządzeniem; widzimy oryginalne, stare odrzwia drewniane, prowadzące do sieni, po której obu stronach leżą izby „biała“ i „czarna“ — w nich sprzęty i statek góralski. Dalej jedyny w Polsce, przepyszny zbiór rzeźbionych łyżników, bogata kolekcja góralskich obrazów malowanych na szkle, przeważnie treści religijnej, nieraz wzruszająco naiwnych. Domorosły artysta uczcił n. p. małego „Panjezuska“, trzymanego na ręku Matki Boskiej, włożeniem Mu majteczek.

Mniej skwapliwie odtwarzano sceny z życia świeckiego, jedynie jeszcze tematy zbójnickie przemawiały do wyobraźni twórców. Bajeczną siłę i zręczność zbójników ilustruje obrazek, którego treścią jest przyjęcie do bandy Janosika jednego z nowozaciężnych. Kandydat na zbójnika przedstawiony jest na pierwszym planie w momencie, gdy skacze tak dzielnie, że ciupagą ścina „wierzchowiec smreka“, drugą zaś ręką pali z pistolca i odstrzela „wiersicek jedlicki“.

Obrazy te znakomicie przekazują nam cechy etnograficzne, widzimy na nich, jak się lud podhalański ubierał, jaką miał broń i zwyczaje.

Wśród zbiorów muzealnych zauważamy dalej wielką ilość przyborów do gospodarstwa mlecznego, przedmioty pięknie rzeźbione, są to czerpaki, obońki, warzęchy i formy na ser. Stroje podhalańskie, tkaniny, spinki, opaski; duży zbiór pamiątek zbójnickich, jak noże, pistolce, czapki, w końcu zaś dział instrumentów muzycznych, są obfitem źródłem dla etnografa. Wszystko to rozmieszczone w sposób celowy i umiejętny daje pełny i niezmiernie interesujący obraz góralskiego życia i zwyczaju, ginącego już niestety.

Zbiory przyrodnicze zajmują pierwsze piętro budynku. Charakterystyczne okazy fauny tatrzańskiej stanowią wypchane cielska niedźwiedzia, rysia i żbika; ptaki mają tu również przedstawicieli typowych dla Tatr gatunków. Postarano się także przedstawić przeszłość geologiczną Tatr: widzimy więc skały różnych epok i składu, z których zbudowane są Tatry, okazy są tak ułożone, by oglądający mógł sobie stworzyć obraz dziejów powstawania serji wysokotatrzańskiej i reglowej. Budzi nasz podziw wielki zbiór mchów tatrzańskich Dra Chałubińskiego, oraz zielnik tamtejszej flory. Kości niedźwiedzi jaskiniowych i łosi, pochodzące z tatrzańskich grot, oraz mamuta, znalezionego koło Nowego Targu, dopełniają zbioru.

Właściwości krajobrazu tatrzańskiego ilustrują mapy, modele

i fotografje, wykazujące związek rzeźby gór z charakterem podłoża i procesami geograficznymi, działającymi na ich obszarze.

Poza wspomnianemi okazami posiada Muzeum liczne zbiory, tak w dziale etnograficznym, jak i przyrodniczym, spoczywają one jednak, narazie, z powodu braku oszklonych szaf w pakach.

Na drugiem piętrze i na poddaszu znajduje się szereg pokoi, przeznaczonych na pracownie naukowe i mieszkania dla badaczy. Zupełnie bezpłatne użyczenie przez Muzeum mieszkań kilkudziesięciu pracownikom naukowym rocznie, ułatwia uczonym tak ważne i ciekawe studjum Tatr i Podhala i zasługuje na najgorętsze uznanie, zwłaszcza w czasach dzisiejszych tak mało zajmujących się stworzeniem odpowiednich warunków dla pracy naukowej. Gdy dodamy jeszcze, że Muzeum posiada bibljotekę, w której stara się zgromadzić całą literaturę, odnoszącą się do Tatr i Podhala, dalej instrumenty, jak mikroskopy, lupy, kompasy etc. i że oddaje je do użytku badaczy, to będziemy mieli obraz, tej jedynej w swoim rodzaju, placówki naukowej w letniej stolicy Polski.

Mówiąc o Muzeum Tatrzańskiem, trudno byłoby nie mówić o jego administratorze i kustoszu działu etnograficznego prof. Juljuszu Zborowskim. Prof. Zborowski umie bowiem robić rzeczy dziwne. Muzeum, trzeba tu wyznać, nie posiada żadnych stałych dochodów. Czasem dostanie zapomogę rządową, lub też znajdzie się szlachetny ofiarodawca i złoży pewną kwotę na bieżące wydatki. Trzeba umieć istnieć i opędzać potrzeby z problematycznego często budżetu. W tych to warunkach umie prof. Zborowski znaleść zawsze wyjście w opresjach finansowych, to wydawnictwem, to sprzedawanemi fotografjami, kopjami, lub też *ad hoc* wymyślonymi, a sprężyście wykonanymi planami. Swoje osobiste sprawy podporządkowując zawsze interesowi Muzeum umiał ten świetny kustosz wzbogacić i pomnożyć kilkakrotnie zbiory. Godnego współpracownika w dziale przyrodniczym znalazł w osobie prof. Konstantego Steckiego. Miła, gościnna atmosfera, panująca w murach instytucji, stwarza niezwykle sympatyczne warunki pracy naukowej, wiąże ze sobą badaczy, niezależnie od ich specjalności. Zawiązują się stosunki bliskie i serdeczne między uczonymi z różnych stron Polski, którzy zetknęli się tu przy pracy.

Muzeum daje również u siebie stałą siedzibę obserwatorowi zjawisk meteorologicznych, ogłaszającemu dwa razy dziennie prognozy pogody. Nie sposób nie wspomnieć tu o wysoce obywatelskiem stanowisku Dra Diehla, przewodniczącego Komisji Klimatycznej, dzięki któremu wspomniana Komisja opłaca koszta utrzymania meteorologa.

W r. 1921 ukazał się pierwszy tom perjodycznego wydawnictwa Muzeum „Rocznika Podhalańskiego". Jest to pięknie wydana księga o 218 stronach druku, wykwintnie i bogato ilustrowana, zawierająca rozprawy z historji i etnografji Podhala. Dalsze tomy będą się ukazywały w miarę środków materjalnych, będą one posiadały streszczenia francuskie i angielskie.

Kuratorjum Muzeum ma na przyszłość piękne i daleko sięgające w życie społeczeństwa cele i zamiary. Przedewszystkiem chodzi o utworzenie działu przemysłowego. Sztuka stosowana, czerpiąc wzory z mo-

tywów swoistych, podhalańskich, mogłaby w przedmiotach codziennego użytku i urządzeniach wnętrz stworzyć rzeczy piękne i walnie wyrugować rozmaite banalności zagraniczne. Projektowane jest dalej utworzenie sekcji ratowniczej. Sprawa wymiany okazów z Tatr i Podhala z zagranicznemi pokrewnemi instytucjami może być również przeprowadzoną z korzyścią.

Na dosyć obszernym gruncie, należącym do Muzeum, ma stanąć w przyszłości oryginalna chałupa góralska, dalej zaś jest w przygotowaniu założenie wzorowego alpinarjum, z wszystkiemi drzewami i roślinami wysokogórskiemi.

Przez ustawiczne obecnie stykanie się z ludnością innych dzielnic Polski, charakterystyczna odrębność zwyczajów, sztuki, a nawet języka góralskiego zaciera się, a często ginie bezpowrotnie. To też dla usiłowań przechowania kultury Podhala mamy cześć i sentyment. Muzeum Tatrzańskie godnie spełnia tę rolę, stojąc na straży tradycji skalnego Podhala. Stanowi równocześnie placówkę i ognisko badań fizjograficznych, badań nad odrębnemi właściwościami przyrody Tatr polskich i ich otoczenia.

Dnia piątego sierpnia b. r. odbył się obchód 50-letniego jubileuszu Towarzystwa Tatrzańskiego. Muzeum wzięło w uroczystości tej żywy udział. W tym to czasie zaszczycił Muzeum swą obecnością prezydent Rzeczypospolitej. Wszyscy życzą tej instytucji, aby był to moment zwrotny w kierunku coraz świetniejszego rozwoju i zapewnienia jej podstaw finansowych — niechże na pergaminowej tablicy, wiszącej w przedsionku, przybędzie długi szereg nazwisk ofiarodawców, aby ta podhalańska placówka naukowa dalej, wolna od trosk, służyła społeczeństwu.

---

## Wycieczka do Borysławia.

Wrzesień ma się ku końcowi. Dni są już krótkie, poranki i wieczory chłodne bardzo, ale polskiej jesieni prześliczna pogoda zachęca do przedsięwzięcia ostatnich przed szarugami i zimą dalszych wycieczek z młodzieżą szkolną. Powstaje plan zwiedzenia kopalń nafty w Borysławiu. Subwencja Rady miejskiej udzielona szkołom powszechnym na cele krajoznawczych wycieczek ułatwia wykonanie powziętego zamiaru.

Dnia 22 września wyrusza 90 chłopców z różnych szkół powszechnych lwowskich i 22 uczenic ze szkoły żeńskiej imienia Lenartowicza pod opieką nauczycielstwa drogą przez Sambor do Drohobycza, a stamtąd do Borysławia.

Okolica za Lwowem, chociaż jednostajna, równina, mało zajmująca, budzi zachwyt wycieczkowców. Pięknym jest dla nich strumień leniwie płynący przez senne pola, milczący las przerzedzony siekierą wojenną, ale purpurą i złotem bogaty — malwy w ogródkach i słońca smugi po łąkach i ścierniskach szeroko się kładące.

Szczęśliwa młodość widzi wszystko przez pryzmat szczerej radości z poznawania rzeczy nowych.

Pociąg spieszy szybko w dal, krajobraz ucieka ciągle przed nami, niema czasu przypatrzeć mu się dokładnie. Wrażenia biegną także jedne za drugiemi jak obłoki wichrem gnane, trudno je powiązać, zgrupować, rozpierzchają się co chwilę — zgrupują się dopiero kiedyś we wspomnieniu, dojeżdżamy do Mikołajowa — wkrótce za stacją na skraju horyzontu ukazuje się nam jak fata morgana słynny zakład sierot w Drohowyżu. Widziany z daleka, ogromem swojem i harmonją linji budowy potężne wywiera wrażenie. Wyglądamy z okien wagonu, by jaknajdłużej nie tracić go z oczu — niestety krótko cieszymy się jego widokiem.

Gdzieś w dali, na południu widnokręgu majaczeją łańcuchy pagórków. Zbliżamy się ku nim, stają się coraz wyraźniejsze, dokładniejsze, wyższe, kędzierzawe, lasami pokryte. Zatrzymujemy się na stacji w Samborze. Zmrok szybko zapada i kładzie koniec obserwacjom. Na stacji postój przydłuża się nadmiernie — przesuwają nas na inny tor, gdyż kierunek południowy w którym jechaliśmy dotąd zmieniamy na zachodni.

Do Drohobycza, gdzie mamy zapewniony nocleg w męskiej szkole im. Słowackiego przyjeżdżamy o godzinie 11 w nocy. Wysiadamy na przystanku, gdyż stacja główna jest 4 km. od miasta oddaloną.

W szkole oczekują nas mimo znacznego bardzo spóźnienia naszego przyjazdu — widzimy to już z daleka, bo szkoła jest oświetloną. Wita nas gościnnie w progu przyjaciel młodzieży zacny dyrektor Raba.

W kuchni dymią kotły z posiłkiem przygotowanym dla wycieczkowców. Komitet Amerykańsko-Polski Pomocy Dzieciom za staraniem p. Baygera, przewodnika wycieczki, pozwolił z aprowizacji swoich kuchen dostarczać młodzieży w czasie tej wycieczki ciepłego posiłku. Nocleg jest twardy na gołych ławkach, młodzież śpi na nich jak na puchu.

Rano o białym świcie od szronu, co gęsto pokrył trawniki i dachy Drohobycza, po śniadaniu przyrządzonem w szkole wyruszamy najpierw do kościoła farnego, a potem do salin. Założone w pierwszej połowie XIV wieku, warzą sól do dnia dzisiejszego. W szybie królewskim obfite źródło solanki nakryte jest szczelnie — wewnątrz dość obszernego zabudowania. Ropa solna czerpana amerykańskim systemem odpływa rurami do warzelni. Idziemy oglądać warzelnię. W panwi, okrytej gęstą parą, zastajemy solankę już zgotowaną, na spodzie panwi jest gruby osad soli. Pod panwią huczą kotły, jedne opalane ropą, inne gazem. Z piętra, na którem umieszczona jest panew, zrzucają miałką wilgotną sól na dół i wagonikami zwożą do pieców, by ją wysuszyć w formach dających kształt topkom. Dwa wagony soli produkuje warzelnia dziennie. Budynek salin, zniszczony pożarem, smutny na zewnątrz przedstawia obraz, wewnątrz jednak wre życie i znoi się praca.

Czas zbiegł nam szybko, zwiedziliśmy wszystko, nawet magazyny, trzeba nam ruszać w dalszą drogę, ku dworcowi skąd na południe od Drohobycza biegnie kolej do Borysławia.

Pogoda słoneczna wyzłaca nam drogę, powietrze przejrzyste ete-

ryczne pozwala wzrok zapuścić wdal. Błyskawicznie przebiegamy 12 km. drogi. Już widać Borysław jak na dłoni. Woń ropy naftowej zalatuje do wagonów. W rowach przydrożnych czerni się złotodajny płyn. Całe zbocze rozległej góry zasiane jest gęsto strzelającemi w niebo ściętemi piramidami w czarne obleczonemi szaty. To wieże wiertnicze kryte papą. U szczytu każdej z nich biegnie galeryjka drewniana — do stóp ich tulą się niskie zabudowania górnicze.

Pociąg zwalnia biegu, ustaje turkot kół i wysiadamy na dworcu. Długi łańcuch cystern, olbrzymie rezerwoary ropy, potężne rury w różnych krzyżujące się kierunkach, jak arterje pędzące czarny płyn do zbiorników i cystern wskazują, że znajdujemy się w centrum wielkiego przemysłu górniczego.

Z dworca do serca Borysławia prowadzi tylko jeden chodnik drewniany. Idziemy nim pełni skupienia. Nie wolno tu uwagi rozpraszać na inne przedmioty, bo łatwo można zapaść się w pułapkę lub na mocy bezwładności zawadziwszy o wystającą przeszkodę rozciągnąć się wzdłuż chodnika.

(Dokończenie nastąpi).

---

## Z książek i czasopism.

*„Program polityczny Polaka uczciwego“ Al. Janowski.* Wydawn. Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej, ul. Tamka 1. Książka ta omawia w streszczeniu najważniejsze zagadnienia, jakie Państwo Polskie ma do spełnienia, a mianowicie: Stosunek Polski do sąsiadów, mniejszości narodowych w Polsce, wyznań religijnych, wreszcie do reform społecznych jak reforma rolna, stosunek wsi do miasta i t. p. Napisana zrozumiale i żywo, daje czytelnikowi dużo do myślenia nad drogami jakiemi naród nasz powinien kroczyć do prawdziwej potęgi.

Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej powiększył swą bibljotekę książką *„Wycieczki Krajoznawcze“* napisaną przez Aleksandra Janowskiego, wybitnego krajoznawcę, obecnie kierownika Wydziału Oświaty Pozaszkolnej Ministerstwa Oświaty. Książka zawiera: Wstęp. I. Uwagi ogólne. II. Przewodnik. III. Opieka sanitarna. Apteczka podręczna. IV. Organizacja. V. Plany wycieczek. VI. Informacje. VII. Zbiory. VIII. Poradnik książkowy. Przewodnik Dr. M. Orłowicza. Tytuły książek z wiadomościami do poszczególnych wycieczek. IX. Zakończenie. Książka ta może oddać wielkie usługi młodzieży, wybierającej się na wycieczkę w bliższą czy też dalszą okolicę, zarazem może być przewodnikiem po całej Polsce. Nabywać ją można w Centralnym Związku Młodzieży Wiejskiej Warszawa, ul. Tamka L. 1, lub Księgarni „Ignis“ Warszawa Krakowskie Przedmieście 9.

---

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy należy wysyłać pod adresem: **Księgarnia Orbis, Kraków—Dębniki, Barska 41.** — Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. Nr. 148.728.

Redakcja: Kraków, Grodzka 64, II p. Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia Orbis.

„Orli Lot“ wydawany jest z zapomogi Wydziału Oświaty Pozaszkolnej Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Redaktor. Leopold Węgrzynowicz. Nakładem P. T. K. w Warszawie.

Czcionkami drukarni „Sarmacja“ w Krakowie.